

OKRUTNA SIOSTRA

KAREN DIONNE

FRAGMENT RODZIAŁU 22

[...]

Peter dopija kawę, wstaje od stołu i podnosi piknikowy koszyk, który już czeka przy drzwiach.

— Gotowa?

— Prawie. Postaw na chwilę ten koszyk, muszę tam włożyć prezent dla Rachel.

Wchodzę do spiżarni i wyjmuję z kryjówki na najwyższej półce zabytkowego misia Steiff, którego znalazłam w naszym ulubionym sklepie ze starociami. Zasadniczo to niedźwiedź polarny, a nie baribal, ale przy odrobinie wyobraźni łatwo uznać go za ukochanego albinosa Rachel. Będzie nim zachwycona.

Kładę niedźwiadka z boku koszyka, który Peter wynosi z domu.

— Dziewczynki? — wołam w górę schodów. — Pora schodzić! Tata czeka.

Moje córki hałaśliwie idą po schodach. Diana to wysoka blondynka, szczupła i piękna jak modelka. Rachel ma brązowe włosy i oczy, jest niska i do tego pulchna, bo okropny z niej łasuch. Ta chwila wydaje się tak zwyczajna, że przez sekundę niemal wierzę, że tworzymy normalną rodzinę. Swego czasu uważałam, że słowo „normalny” to obelga, że nie ma nic gorszego niż przeciętność, a ktoś, kto nie aspiruje do czegoś ciekawszego, jest nudny i pozbawiony wyobraźni. Teraz pożądam normalności jak Rachel cukru.

Diana ziewa i przeciera oczy.

— Nie ma kawy? — Podnosi pusty dzbanek.

— Przełałam resztę do termosu. Napijesz się w drodze.

Jeśli mamy dotrzeć na miejsce na tyle wcześnie, żeby obejrzeć górny i dolny wodospad, a potem urządzić piknik, musimy już teraz ruszać w drogę.

Diana wlecze się do samochodu z takim zapalem, jakbyśmy kazali jej wysprzątać stajnię. Szczerze mówiąc, gdyby to ode mnie zależało, zostawilibyśmy Dianę w domu, ale nie wiedziałam, jak ją wykluczyć, nie rozczarowując Rachel.

— Głodna jestem — skarży się Diana zaledwie po godzinie jazdy.

Od początku podróży wygłasza długą litanię skarg. W samochodzie jest za gorąco, a kiedy Peter redukuje grzanie, za zimno. Peter jedzie za wolno. Peter jedzie zbyt szybko. Niedobrze jej z tyłu samochodu i powinna zająć moje miejsce z przodu. Rachel nie chce z nią rozmawiać. Rachel nie chce się zamknąć.

— Dopiero co jedliśmy śniadanie — zauważam.

— Ja nie.

I niby czyja to wina? — chcę warknąć. Nie robię tego przez wzgląd na Rachel, a poza tym kłótnia z Dianą jest całkowicie nieproduktywna.

— Możemy się zatrzymać, nie mam nic przeciwko temu — włącza się Rachel, jak mogłam się spodziewać.

Rachel nie cierpi konfliktów. Czytałam, że dziecko dorastające z psychopatycznym rodzeństwem staje się chorobliwie czujne, przesadnie obowiązkowe, przytłoczone poczuciem winy i zdystansowane. To jeszcze jeden powód, żeby Diana zniknęła. Kiedyś wierzyłam, że jako rodzice małej psychopatki musimy się pogodzić z losem, który nam przypadł w udziale, i radzić sobie najlepiej, jak umiemy, bo nie mamy innego wyjścia. Teraz wiem, że mogliśmy i powinniśmy byli lata temu podjąć działania w celu zapanowania nad sytuacją. Mam tylko nadzieję, że nie jest za późno.

— Za wcześnie na postój — oświadczam. — Jeśli teraz zjemy lunch, nie będziemy mieli co jeść w parku.

To nie do końca prawda. Przygotowałam mnóstwo jedzenia na lunch i na kolację, a poza tym w drodze powrotnej zawsze możemy wpaść do jakiejś restauracji, jeśli zajdzie konieczność. Nie podoba mi się jednak, że zachcianki Diany kierują życiem rodziny. Co oczywiste, moja córka kaprysi i tak naprawdę wcale nie jest głodna.

Diana rozpina pas, odwraca się i klęka, po czym sięga do bagażnika i grzebie w koszyku piknikowym.

— Przestań — karczę ją ostro.

Zgodnie z moim planem Rachel ma odkryć swój urodzinowy prezent, kiedy zatrzymamy się na przekąskę. Diana zachowałaby się w sposób niesłychanie typowy dla siebie, gdyby teraz wyciągnęła upominek i zepsuła niespodziankę.

— Przestań — powtarzam, gdyż Diana nie przestaje szperać w koszyku. W tej samej sekundzie dociera do mnie, że muszę ustąpić, bo Diana zaniecha prób tylko wtedy,

kiedy postawi na swoim. — No dobrze, zatrzymamy się. Za jakieś pięćdziesiąt kilometrów jest przydrożny parking. Tam coś zjemy. Może być? — zwracam się do Petera.

— Jak chcesz — odpowiada, a ja mimowolnie wspominam inną długą wyprawę samochodem, wiele lat temu.

Pół godziny później zjeżdżamy z drogi i zatrzymujemy się pod wspaniałym żółtym klonem. W sezonie letnim panuje tutaj taki tłok, że nie ma co marzyć o znalezieniu wolnego stołu, ale turystyka na Górnym Półwyspie raptownie zanika tuż po rozpoczęciu roku szkolnego, więc jest w czym wybierać. Rachel biega od stołu do stołu.

— Ten — oświadcza w końcu i z entuzjazmem siada przy stole najbardziej oddalonym od tego, który zajmuje para z córką mniej więcej w jej wieku.

Poza tym na parkingu nie ma nikogo. Z naszego miejsca widać niewielkie wzgórze i strumyk u jego stóp.

Peter stawia koszyk na stole.

— Pomożesz mi nakrywać? — zwraca się do Rachel, po czym spogląda na mnie nad jej głową i mruga.

— Ooo! — piszczy Rachel na widok prezentu pod pokrywką. W pośpiechu wyciąga misia, tuli go i całuje w łysy placek na czubku łebka. — Dziękuję, tatusiu! Och, dziękuję, mamusiu! Jest idealny! Będzie się nazywał Biały Miś!

— Nie może się nazywać Biały Miś — cedzi Diana z pogardą. — Już mamy niedźwiadka, który się tak nazywa.

Rachel robi smutną minę, a ja jestem taka wściekła, że mogłabym spoliczkować Dianę. Karząc Dianę dwutygodniowym zakazem wypychania zwierząt za to, co zamierzała zrobić siostrze, wiedziałam, że będzie się na nas wszystkich mścić, i w rzeczy samej, zionie jeszcze większą

nienawiścią niż zwykle. Atakowanie Rachel w tak błahej sprawie jak imię dla pluszowego misia to jednak przesada.

— Nie słuchaj siostry — mówię do Rachel. — To twój miś. Możesz go nazwać, jak chcesz.

— Spytałem go, co o tym sądzi. — Rachel szepcze misiowi do ucha, czeka, a potem kiwa głową. — Mówi, że chce się nazywać Biały Miś — odpowiada z szerokim uśmiechem.

Diana tylko kręci głową. Cieszę się, że odpuściła, ale i tak wzdycham. Kontrolowanie wzajemnych relacji moich córek to praca na pełen etat.

Dalsza część pikniku przebiega tak, jak tego oczekiwałam. Rachel wszędzie jest pełno: poznaje okolice, rozmawia z dziewczynką przy innym stole, karmi czipsami ziemniaczanymi pręgowce, które przyszły pozebrać, i namawia tatę na wyrucie imion Rachel i Diana na blacie. W tym czasie Diana nabija się z niej, deprecjonuje ją i krytykuje jej zachowanie. Teraz, gdy zwracam szczególną uwagę na niedopuszczalne zachowanie Diany, zdumiewa mnie, że Rachel potrafi znieść tyle jadu ze strony siostry.

— To niszczenie własności publicznej — burczy Diana, kiedy Peter wyciąga scyzoryk, a Rachel mu pokazuje, gdzie ma wyrycić jej imię. — Za coś takiego grozi areszt.

Innego dnia, w innych okolicznościach pewnie zareagowałabym jak Diana, bo mam lekkiego bzika na punkcie przestrzegania zasad, ale nie zamierzam robić nic, co mogłoby popsuć dzień Rachel.

— Nie ma się czym przejmować — mówię pośpiesznie. — Tutaj aż się roi od wyrzutek imion. Nikt nie zwróci uwagi na dwa dodatkowe.

Peter właśnie kończy pracę nad sercem, którym otoczył imiona naszych córek, kiedy podchodzi do nas wyraźnie

przejęty mężczyzna. Przez ułamek sekundy myślę, że to pracownik parku i pociągnie nas do odpowiedzialności za niszczenie stołu. Potem rozpoznaję ojca rodziny, która z nami piknikuje.

— Przepraszam — odzywa się. — Nie widzieli państwo mojej córki? Powiedziała, że przejdzie się kawałek szlakiem, a teraz nie możemy jej znaleźć.

Ściska mnie w brzuchu. Dziewczynka zgubiła się w lesie. Dziewczynka w wieku Rachel.

— Rachel? — mówi Peter. — Rozmawiałaś z nią. Mówiła, dokąd idzie?

— Aha. Poszła w tamtą stronę. — Rachel wskazuje szlak.

— Na pewno?

Znowu kiwa głową.

— Sprawdzaliśmy — odzywa się mężczyzna. — Tam jej nie ma.

Peter wysuwa się zza stołu.

— Niech się pan nie martwi, poszukamy jej. Diana, Rachel, Jenny, chodźcie. Rozejdziemy się na różne strony i spotkamy tutaj za pięć minut.

— Chodź ze mną. — Diana bierze Rachel za rękę. — Jesteś za mała, żeby chodzić sama. Też mogłabyś się zgubić.

Krew ścina mi się w żyłach na myśl o tym, że moje córki poszłyby tylko we dwie do lasu.

— Idę z nimi — pośpiesznie informuję Petera.

— Emily! Emily! — Nasze nawoływania roznoszą się echem wśród drzew.

Przytłacza mnie wspomnienie. W ubiegłym tygodniu wykrzykiwałam imię Rachel, wędrując po bardzo podobnym lesie. Powtarzam sobie, że te dwie sytuacje nie mają

ze sobą nic wspólnego. Dziewczynce zapewne nic się nie stało. Przyjechalśmy tu niedawno, więc nie mogła odejść daleko. Rachel rozmawiała z nią dziesięć, może piętnaście minut temu. Przez ten czas Emily na pewno nie spotkało nic złego.

Po umówionych pięciu minutach znowu zbieramy się przy piknikowym stole. Nikt z nas nie widział Emily.

— To jakieś szaleństwo — denerwuje się jej ojciec. — Nie mogła tak po prostu zniknąć. Dzwonię na policję.

Matka Emily jest bliska płaczu.

Peter odciąga mnie na bok.

— Co twoim zdaniem powinniśmy zrobić? Jeśli mamy dotrzeć nad wodospad i wrócić, powinniśmy natychmiast ruszać w dalszą drogę, ale nie chcę odjeżdżać, kiedy czyjeś dziecko jest w niebezpieczeństwie.

— Ja też nie. Gdyby chodziło o moje dziecko, pragnęłabym, żeby wszyscy go szukali. Ale to święto Rachel, więc chyba ona powinna podjąć decyzję.

Peter przywołuje gestem Rachel i wyjaśnia jej sytuację.

— Co chcesz zrobić? Powinniśmy tu zostać i pomóc w poszukiwaniach czy jechać nad wodospad? Nie da się pogodzić jednego z drugim.

— Zostajemy — decyduje bez wahania moja wrażliwa córka. Ciągnie Dianę za kurtkę. — Chodź, szukamy dalej.

Idą do lasu, a ja za nimi. Diana z obrzydzeniem ogląda się przez ramię, ale mam to w nosie. Moja siostra zostawiała dziewczynki bez nadzoru i nie wynikło z tego nic dobrego.

Ruszamy szlakiem zakończonym malowniczym punktem widokowym i w tym samym momencie na parking wjeżdża radiowóz na sygnale.

— Poczekajcie! — wołam do córek. — Musimy wrócić i porozmawiać z policjantem. Powiemy mu, gdzie już sprawdzaliśmy. Teraz on będzie kierował poszukiwaniami.

— No dobrze — mówi policjant po wysłuchaniu Petera, Diany, Rachel i mnie. — Zrobimy tak. Pani Walker — zwraca się do matki dziewczynki. — Chciałbym, żeby pani tutaj została jako nasz koordynator. — Policjant jest życzliwy, bo pani Walker ślania się na nogach. — Cała reszta robi to, co dotąd. Musimy pozostawać w zasięgu słuchu i co kwadrans meldować się w tym miejscu. Nie chcemy, żeby ktoś jeszcze się zgubił.

Mówi to półzartem, ale nikomu nie jest do śmiechu.

Siadam na ławce i otaczam ramieniem panią Walker, która w milczeniu przygryza wargę.

— Wszystko będzie dobrze — obiecuję jej. — Zostaniemy tutaj, dopóki pani córka się nie znajdzie.

Kiwa głową i pociąga nosem. Chyba mogę z czystym sumieniem powiedzieć, że doskonale wiem, co czuje ta kobieta. Rozglądam się wokół, wypatrując Diany i Rachel, bo chciałam do nich dołączyć, ale nie ma ich w kręgu poszukiwaczy.

Zniknęły.

— Wiesz, dokąd poszły Diana i Rachel? — pytam Petera.

Z trudem zachowuję spokój. Na pewno nic się nie stało. Nic nie mogło się zdarzyć.

— Poszły tamtędy. — Wskazuje na wybieg dla psów.

Dlaczego ich nie zatrzymałeś?! — chcę wrzasnąć. — Nie przyszło ci do głowy, żeby iść z nimi? Mogłeś im powiedzieć, żeby na mnie zaczekały. Jak Peter mógł pozwolić im odejść bez nadzoru? Przecież wie, jaka jest Diana i co zrobiła. Rzucam się biegiem przed siebie.

— Rachel! Diana! — wołam. — Poczekajcie na mnie!

Przyśpieszam. Rachel ma na sobie ulubioną kurtkę z zielonego płótna, ale Diana włożyła wściekle pomarańczową myśliwską kamizelkę, więc powinna się rzucać w oczy. Gnam po trawie, nie zważając na to, że to teren wybiegowy dla psów, i wypatruję pomarańczowej plamy wśród drzew. Wpadam do lasu i pędzę dalej. Gałęzie szarpiają mi włosy i ubranie.

— Rachel!

Na dnie rowu miga mi coś pomarańczowego.

— Diana! — wołam. — Wszystko w porządku? Jest z tobą Rachel? Znalazłyście dziewczynkę?

— Mamo, chodź tutaj! Znalazłyśmy ją! — odkrzykuje Rachel.

— Nic jej nie jest?

— Chodź, zobacz — odpowiada Diana.

Spokój w jej głosie mrozi mi krew w żyłach. Mam złe przeczucia, ale inna sprawa, że Diana rzadko się ekscytuje.

Jest bardzo stromo, więc muszę chwycić się krzaków i pni drzew, żeby nie spaść na sam dół. Gdy tam docieram, widzę Dianę pochyloną nad czymś różowym. Czuję ucisk w sercu. Dziewczynka leży na plecach, całkiem nieruchoma, z otwartymi oczami.

Opadam na kolana i kładę dłoń na jej piersi.

— Daruj sobie — mówi Diana. — Nie żyje.

— Nie wiesz tego! — Odpycham ją.

Kiedy ostatnim razem mogłam ocalić komuś życie, nie umiałam prowadzić resuscytacji krążeniowo-oddechowej. Teraz już potrafię. Kładę jedną dłoń na drugiej i mocno uciskam klatkę piersiową dziewczynki. Uciski na głębokość pięciu centymetrów są trudne nawet podczas ćwiczeń na fantomie, a teraz wydają się wyjątkowo brutalne.

Dla większej skuteczności wykorzystuję ciężar swojego ciała. Sto ucisków na minutę. Liczę je w myślach. RKO jest znacznie trudniejsza, niż ludziom się wydaje, i wymaga sporo siły fizycznej. W jednej trzeciej wypadków pacjent kończy z popękanymi lub z połamanymi żebrami, ale to niewysoka cena za życie.

— Idź — mówię do Diany między uciskami. — Pośpiesz się. Sprowadź pomoc. Zabierz Rachel.

Moje córki wdrapują się po stromiźnie. Odchyłam głowę dziewczynki, unoszę jej brodę i wykonuję dwa oddechy ratunkowe, a potem znowu uciskam. W następnych minutach słycać tylko mój oddech, gdy próbuję podtrzymać małą przy życiu. Na pewno nie umarła. Na pewno.

Wreszcie zjawia się policjant, tuż za nim zbiegają rodzice dziewczynki, a za nimi ratownicy medyczni z przenośnym defibrylatorem i noszami. Dziewczynka nie reaguje na żadne bodźce. Przez długą, pełną smutku minutę patrzę na rodziców dziecka, którzy nie odrywają wzroku od ratowników. Potem odwracam się i powoli wchodzę po zboczu. Kolejne martwe dziecko. Kolejne dziecko, którego nie zdołałam ocalić.

Peter czeka na ławce przy piknikowym stole razem z Dianą i Rachel.

— Dobrze się czujesz? — pyta. — Diana mówi, że dziewczynka nie żyje.

— Jest martwa. — Opadam na miejsce obok niego.

Ciężko mi mówić wprost w obecności Rachel. Inna sprawa, że śmierć nie jest jej obca, i to nie tylko ze względu na taksydermiczne inklinacje siostry. Koniec końców, nasze ukochane niedźwiedzie są wszystkożerne. Problem w tym, że zginął człowiek, mała dziewczynka w wieku Rachel. Sadzam córkę na kolanach jak malucha.

— Tak mi przykro, że to widziałaś. — Odgarniam włosy z oczu Rachel, ocieram łzy z jej policzków, po czym ją przytulam. — Czasami dzieją się złe rzeczy.

Żałuję, że nie znalazłam odpowiedniejszych słów, ale i tak nic nie cofnie tego, co zobaczyła.

— Możemy już iść? — pyta drżącym głosem. — Nie chcę tu być. Chcę do domu.

— Ja też, skarbie, ale musimy poczekać, aż policja nas puści. Pojedziemy, kiedy tylko skończą z nami rozmawiać.

Wracam myślami do innej śmierci, do innej chwili, kiedy policjanci przesłuchiwali moją córkę. Wolę nie myśleć, o co będą pytali Dianę i Rachel. Dziewczynka była martwa, kiedy ją znalazły. Na pewno.

Widzę malucha na dnie naszego basenu. Widzę nieruchome ciało dziewczynki i pochyloną nad nim Dianę. Myślę o jej niekończących się kłamstwach i okrucieństwie, o kompletnym braku uczuć i skruchy, i w końcu jestem gotowa przyznać, że świat byłby lepszym miejscem, gdyby moja córka nigdy się nie urodziła.